OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ

GAZETKA MIKI

TYGODNIK

ROK I. NR 5
DNIA 15 STYCZNIA 1939

CENA 40 GROSZY



ZYGMUNT NOWAKOWSKI

PĘDZIWIATR



Sam jak palec w buzi

Staszek nie miał pojęcia, co to za morze, czy Czarne, czy Marmara, czy też Egejskie. Dziś wtorek, czyli o dziewiątej lekcja geografii! I właśnie o Morzu Egejskim mówić ma nauczyciel, bo tego dotąd nie brali w szkole... Hm, w szkole!... Jakże to wszystko daleko, jak okropnie daleko!!... Nauczyciel z pewnością wezwie do mapy Józka Woźniaka i każe mu pokazać Morze Egejskie a Józek jak zawsze podrapie się w głowę i po swojemu trafi jak kulą w płot, pokazując Morze Kaspijskie, albo nawet nie morze tylko Alpy czy Pireneje. Dla niego to wszystko jedno... A po Józku nauczyciel wywoła Stefka Nowickiego i Stefek także zacznie wodzić palcem po mapie, szukając tego Morza Egejskiego...

Ta mapa, tam na ścianie pomiędzy dwoma oknami, jest różowa i błękitna i zielona, krajów przeróżnych, gór i mórz pełna, teraz zaś Staszek leci właśnie nad jednym z takich niebieskich mórz, nie wiedząc, jak się ono nazywa. Zresztą wszystko wygląda z góry inaczej niż na mapie, zupełnie inaczej! Nawet sam nauczyciel nie poznałby tak łatwo, jakie to morze. Czyby też nie spytać jaskółki? Ona wie wszystko i powinna już dawno zbudzić się. Przecież słońce stoi wysoko, chyba zatem wyspała się do tej pory. Zbudzić ją czy też poczekać jeszcze? Zebrawszy na odwagę, półgłosem powiedział »Dzień dobry pani! Odpowiedzi nie było. Powtórzył znowu, tym razem już głośniej »Dzień dobry pani!« Czy pani dobrze spała? Jak zdrowie?«

Jaskółka nie odezwała się ani jednym słowem. Wtedy Staszek ostrożnie, powoli wyciągnął rękę, aby poszukać dobrego ptaszka na ramieniu. Ale tam nie znalazł jaskółki. Zaniepokoił się więc bardzo i szukać począł dalej. Lecz jaskółki nie było ani na ramieniu ani za kołnierzem. Gdzież ona może być? Na skrzydłach latawca? Nie, tam jej także nie ma!

Przestraszył się, nie chciał jednak wierzyć, aby odleciała naprawdę. Zaczął wołać rozpaczliwie, na cały głos: »Proszę pani! Pani chyba żartuje... Proszę się odezwać! Przecież to nie może być, aby pani opuściła mnie...!« Za całą odpowiedź wiatr tylko śpiewał, głucho szumiąc w skrzydłach latawca. »Nie ma jej! Nie ma jej! Nie ma jej!«

Rzeczywiście nie ma jej! Odleciała pewnie wtedy właśnie, gdy Staszek spał tak smacznie! I teraz dopiero został sam, naprawdę sam, sam jeden! Jak palec w buzi! Pod nim to morze olbrzymie, niekończące się, bezbrzeżne, nad głową niebo jeszcze większe niż morze, a wiatr pędzi i pędzi niezmordowany, unosząc Staszka w daleki świat. Nagły podmuch wichru zniżył latawiec, muskając nim prawie o wodę. Staszek już zaczął rozwiązywać sznurek, którym jaskółka przymocowała go do poprzeczki, już gotował się, by skoczyć w fale, jednak drugi zryw szalonego wichru poderwał go w górę na dobrych kilkaset metrów. Szybkość lotu zwiększyła się jeszcze, pęd powietrza zatkał Staszkowi oddech w piersiach, smagał go wiatrem po twarzy, po uszach, nie pozwolił otworzyć oczu. Warczały tylko płócienne skrzydła, gwizdały druty i pręty bambusowe a latawiec gnał i gnał bez pamięci, na oślep!

Gdy pęd zwolnił trochę tempo, Staszek otworzył oczy i ujrzał na prawo jakiś ląd, znaczący się jasną linią wzdłuż horyzontu. W dole pod nogami były wyspy rozsiane po morzu, duże, mniejsze, i całkiem małe, malutkie. O, tam, na wprost, jakaś wielka wyspa! Kto wie, może to właśnie ten Rodos, gdzie jaskółka ma takie stosunki i tyle znajomości? Dlaczego jednak odleciała tak bez pożegnania? Przecież był grzeczny, nie obraził jej wcale a nawet starał się siedzieć zupełnie bez ruchu, żeby jej przypadkiem nie zbudzić! Kark boli od tego, bo bał się drgnąć, byle tylko jej było wygodnie a tymczasem zostawiła Staszka samego nad tym morzem ogromnym!

Gorzko zrobiło się chłopcu, gorzko i smutno bardzo. Nie należał w szkole bynajmniej do płaksów, lecz teraz, gdy go nikt nie widzi, może przecież wypłakać się z powodu tej samotności i z żalu do jaskółki, z żalu za Zosią, za Azorem, za wszystkim, nawet za szkołą, nawet, nawet za ciocią, która ostatecznie tak zła nie była... Trafiają się gorsze, np. ciotka Franka Sikory, który w domu często dostawał w skórę. A ciotka nie uderzyła Staszka nigdy, nawet klapsa nie oberwał np. za to, że przecież on, nie kto inny spalił niedawno firankę. Inna rzecz, że nie naumyślnie, ale w każdym razie on był winien i ciocia tylko skrzyczała go, nic więcej!

E, prawdę powiedziawszy, w wielu wypadkach on sam, Staszek, zaczynał, on dawał powód, nie ciotka! Tak, on sam, nie ma gadania!... Westchnął i sięgnął po chusteczkę, aby obetrzeć tym razem nie nos lecz oczy, w kieszeni jednak znalazł list. Cóż to? Taki ciężki? Któż mógł napisać ten list? Jaskółka? Tak, ona!

»Szanowny panie! Przykro mi niezmiernie, ale musiałam wysiąść bez pożegnania, ponieważ mam bardzo ważne interesy rodzinne w Konstantynopolu. Dziękuję uprzejmie za gościnność i za miłe towarzystwo. Rano pewnie będzie pan głodny, radzę zatem zjeść tę jagodę, którą załączam w kopercie. Nadzwyczaj pożywna, bo to same witaminy. Gdyby pan miał jakieś trudności w podróży, proszę bez najmniejszej obawy zwrócić się do kogokolwiek z moich licznych krewnych. Jak wspomniałam, posiadam wielkie stosunki i znajomości na wschodnich wybrzeżach Azji, więc w Syrii i w Palestynie. Wystarczy pokazać piórko, które znajdzie pan również w kopercie, a wszelką pomoc będzie pan miał zapewnioną. Przyda się to szczególnie w Egipcie, dokąd, jak się zdaje, wiatr pana zaniesie. Na drobne wydatki, zechce Pan ode mnie, jako od starszej a życzliwej osoby, przyjąć ten pieniądz złoty. Życzę szczęśliwej drogi.

Z poważaniem

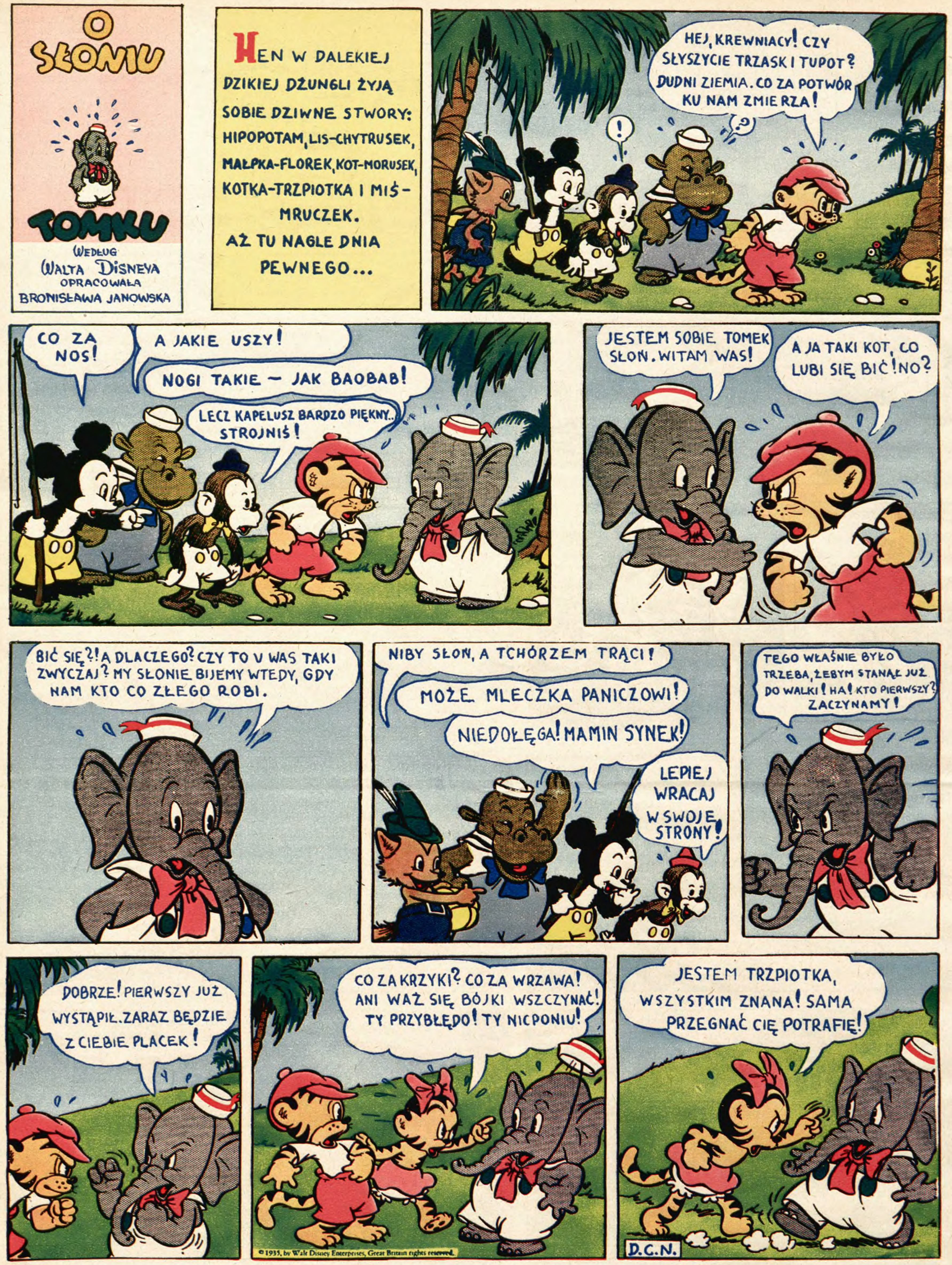
Hirondella z Gniazdowskich Okienkiewiczowa.

P. S. A proszę nigdy nie pić wody nieprzegotowanej! Adieu!« (d. c. n.)

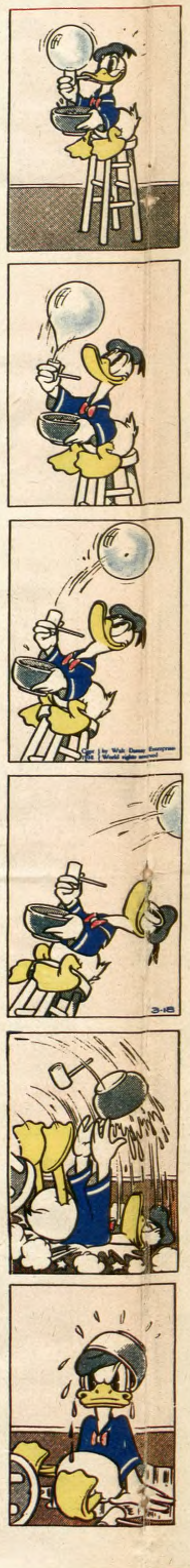


Czy zaprenumerowałeś już »Gazetkę Miki«?

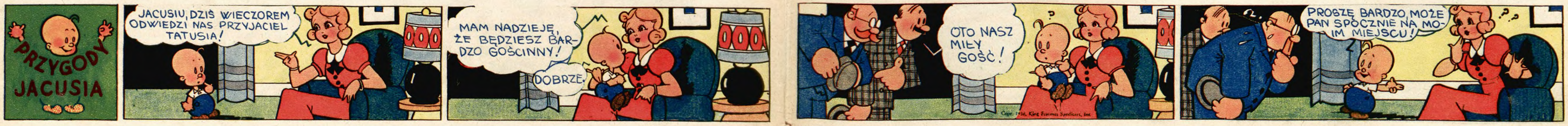




BAŃKI MYDLANE







M/S „WICTORIA” płonie!

NAPISAŁ · JANUSZ · MEISSNER

Ocean — czarny od chmur i biały od piany — wzdymał się pod nimi gniewem. Lecieli już więcej niż trzy godziny, a od dwóch nie spotkali żadnego statku. Busola wskazywała niezmiennie kurs 315 stopni, wahając się raz w lewo, raz w prawo, zależnie od uderzeń burzy, ale nie sposób było sprawdzić jaką derywację[1]) stwarza sztorm. Nie mieli radiostacji i nie mogli tego stwierdzić goniometrycznie.

Plichta ufał swemu instynktowi lotniczemu, ale Mahona ogarniało zwątpienie. Samotność, szalejący wicher, pustka na wzburzonym morzu, niepewność kursu, obawa o całość roztrzęsionej maszyny i niemożliwość powrotu z tej szaleńczej wyprawy — paraliżowały jego odporność. Strach wkradał się do serca i przerażenie ogarniało umysł.

Każda minuta dłużyła mu się teraz nieskończenie. Płonący statek powinien był być gdzieś blisko, jeżeli lecieli w dobrym kierunku. Mogli go jednak minąć z daleka, wcale o tym nie wiedząc. Wówczas groziła im nieodwołalnie śmierć...

Strzałka wskaźnika benzyny posuwała się wolno w górę, gdzie na czerwonej tarczy bielała cyfra zero.

— 60 litrów — odczytał Mahon. — Pół godziny lotu. A potem...

— »Wictoria« płonie! — zawołał Plichta.

Na niskim horyzoncie, nieco bardziej w prawo od kierunku ich lotu, wił się długi ogon czarnego dymu. Wiatr ciskał nim po falach, ciągnął go za sobą i tarzał się w jego kłębach.

Adam skierował maszynę w tamtą stronę i po upływie kilku minut płonący statek ukazał się oczom obu wspólników w całej grozie pożaru.

— Najpierw rzucimy meldunek — powiedział pilot. — Zajdę pod wiatr. Powiem ci, kiedy masz rzucić. Uważaj.

Migawka przygotował woreczek z piaskiem zaopatrzony w trzymetrową wstęgę i sprawdził, czy meldunek jest należycie zabezpieczony przed wypadnięciem z płóciennej kieszeni.

— Uwaga — powtórzył Plichta.

Curtis położył się w skręt. Sztorm znosił go w bok, szybkość zmalała do stu kilometrów i uderzenia wichru, który teraz wiał prosto od czoła, stały się jeszcze gwałtowniejsze. Mogło się zdawać, że lada chwila odejdą skrzydła i zerwią się stery. Samolot skakał w górę, walił się na boki, przepadał, poniewierany, kopany, bity, tratowany przez nagłe wiry i porywy nurtu.

Mimo to parł naprzód. Gdy znalazł się o tysiąc metrów od statku, pilot zamknął gaz. Przegrzany silnik strzelał gęsto, ale słychać było także głęboki szum fal, świst pędu i wycie sztormu.

— Uwaga — powtórzył Plichta po raz drugi.

Wchodzili nad środek górnego pokładu, na wysokości kilku metrów. Przez okno, w którym Migawka opuścił szybę, dęło potężnie.

— Rzuć! — krzyknął Plichta.

Migawka z całych sił cisnął w dół zwinięty pas płótna i wychylił się, aby zobaczyć gdzie meldunek upadnie.

Pęd zatamował mu oddech i omal nie skręcił karku.

Czerwono-żółta wstęga rozwinęła się poniżej kadłuba samolotu, spłynęła w dół i opadła na dolny pokład »Wictorii« tuż obok pokrywy przedniego luku. Kilku ludzi podbiegło jednocześnie. Ktoś odebrał meldunek i czytał.

— Mamy jeszcze dwadzieścia cztery minuty czasu na wszystko — powiedział Plichta, kładąc maszynę do skrętu z wiatrem. — Nie możemy stracić nawet piętnastu sekund.

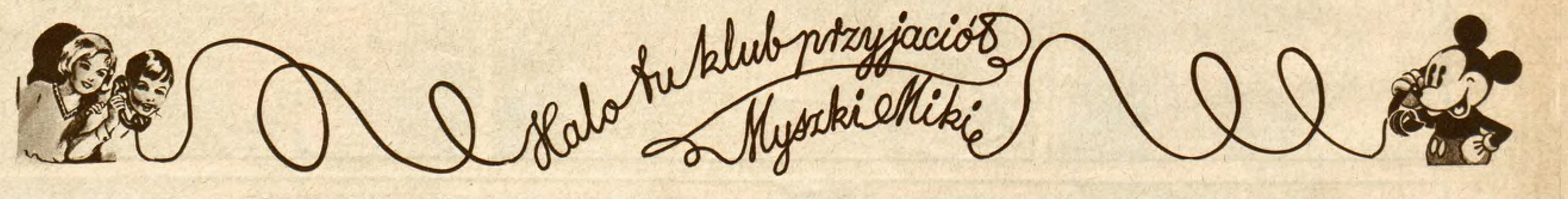
Meldunek rzucony z samolotu, którego przybycia kapitan Smith oczekiwał jak zbawienia, znalazł się na pokładzie w kwadrans po tragicznej chwili wybuchu pozostałych dwóch zbiorników rozdzielczych. Ta chwila zdawała się przesądzać o losie statku: koło trzydziestu ton ropy zalało halę maszyn i pożar, od czterech godzin zwalczany przez całą załogę, znów zaczął obejmować najbliższe nadbudówki.

Ropa przeciekała wciąż niżej, ogień przedostał się do tylnych ładowni i umiejscowienie go z każdą minutą stawało się trudniejsze. Paliło się wewnętrzne poszycie kadłuba, płonęły pokłady, korytarze, schody, sprzęty i ładunek. Wentylatory tłoczyły dwutlenek węgla z baterii na pokładzie trzeciego piętra do połowy ubikacji na środkowej i tylnej części statku, lecz zawartość butli była już na wyczerpaniu. Obydwa bloki motorów specjalnych przełączono na pompy i gaszono wodą wszystkie te obiekty, w których nie było ropy. Ale pożar zyskiwał ciągle nowe pozycje: ropa przenikała wciąż dalej, szerzej, głębiej...

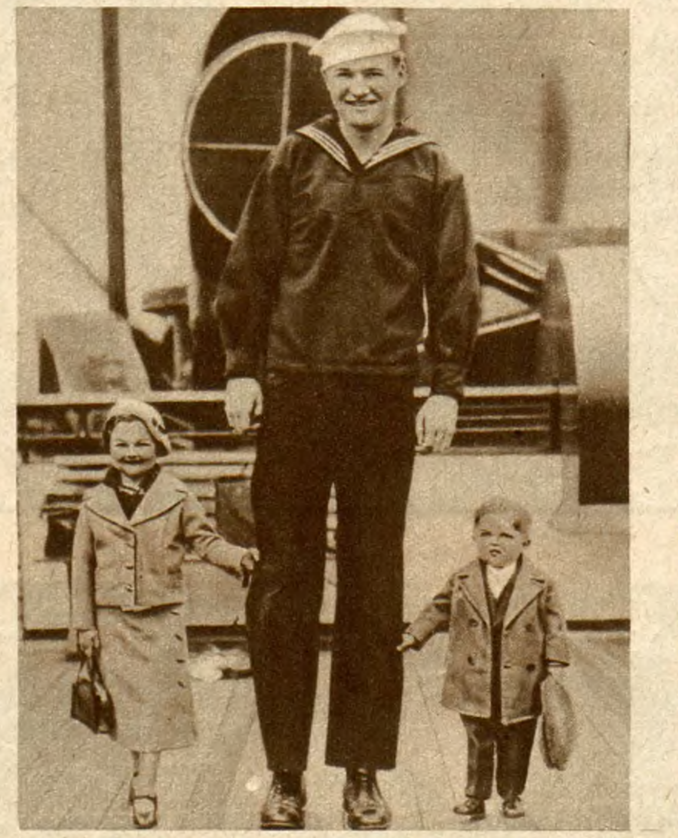


Przeczytawszy meldunek Plichty, kapitan Smith przez dłuższą chwilę starał się opanować zdumienie, wywołane jego treścią. Dopiero potem, uświadomiwszy sobie, że i tak niewiele ma do stracenia, wydał odpowiednie rozkazy, zgodnie z żądaniami pilota. (d. c. n.)

[1]) Derywacja — zboczenie spowodowane wiatrem.



GULIWER WŚRÓD LILIPUTÓW



Wielki marynarz pokazuje urządzenia statku malutkim pasażerom. Są to aktorzy wędrownej trupy liliputów.

KOCHANI PRZYJACIELE I CZYTELNICY!

Choć pan listonosz coraz mocniej sapie, w Redakcji panuje zamieszanie i ruch niezwykły. Wszyscy się zwijają jak przysłowiowe muchy w ukropie (szczególnie zabawnie wygląda wtedy Horacy Chomąto) — ciągle jeszcze mamy sporo listów na które musimy zaraz odpisać. Otóż dzisiaj chcę w druku to i owo powiedzieć następującym dzieciom:

Bolkowi Weylandowi z Łodzi, że bardzo mu się udał nasz Horacy. Lesław Dziubek ze Lwowa przysłał portret własnego pieska Jerry. Piesek ma niby to groźną minę, ale na pewno kocha swego małego pana. Andrzej Monastyrski z Żoliborza przysłał nam nawet list wierszem, za co specjalnie mu dziękujemy. Ninka Podolecka, z Al. na Skarpie, choć nie umie jeszcze sama dobrze pisać — rysuje za to naprawdę ślicznie. Mamy także wiadomości z Piotrkowa Tryb. Nie tylko wiadomości, ale portrety naszych współpracowników. Wykonała je Sabinka Abramowiczówna. Jak Ci się podobał film ze Śnieżką? Hanka Cichecka ze Lwowa dobrze rozwiązała zagadki. Tatusiowi jej dziękujemy za miłe słowa, a co do tych zagadek, to już nikt się więcej nie dowie, bo to nasza tajemnica, dobrze? Pozdrawiamy też serdecznie Wiesia przy tej miłej okazji. I znów kończy się papier. Czy to nie prawdziwe zmartwienie? Całuję Was, drodzy przyjaciele —

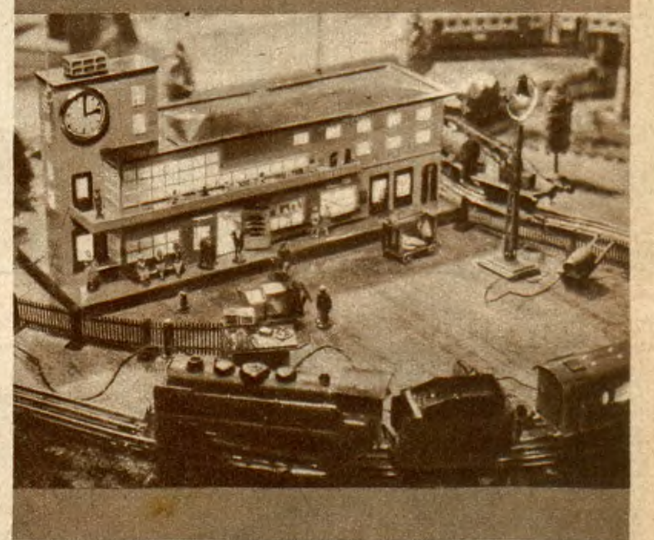
Wasza Myszka.

NAJMNIEJSZY DWORZEC

Wolniutko się posuwa wskazówka na dworcowym zegarze. Odmierza czas, kiedy malutkie pociągi wpadają na tory. Ruch tutaj i gwar, jak to na dworcu kolejowym. To nic, że pasażerowie, to tylko malutkie laleczki. Przecie i laleczki potrafią być krzykliwe, jeśli się bardzo śpieszą na pociąg.

— Tur... tur... — postukują malutkie kółeczka malutkich wagoników.

— Odjazd! — woła malutki zawiadowca.



— A pisz! A pisz! — krzyczą laleczki i długo machają chusteczkami na pożegnanie.

A dzieje się to naprawdę na malutkim modelu kolejowego dworca. Tak właśnie, jak widzicie to na zdjęciu.

GUSTAW MORCINEK — ZA OLZĄ

— Głupiście! — przerywał tedy narzekania swych towarzyszy i tłukł pięścią po płycie. — Barany z was, koziduchy!... A co powiedział Marszałek Piłsudski, co!... Ha, widzicie? Zatkało was, wy koziduchy!... Nie wiecie, a ja wiem. Mnie samemu to powiedział!... A wiecie, jak to było? — i nie czekając ich odpowiedzi, jął szeroko rozwodzić się o tym, jak rozmawiał z samym Marszałkiem Piłsudskim w Warszawie.

Wszyscy jego towarzysze słyszeli już to niezliczoną ilość razy, lecz słuchali go chętnie po raz niewiedzieć który, gdyż utwierdzało to w nich nadwątloną wiarę, że doczekają się jednak kiedyś wyzwolenia.

— A wiecie, jak to było? Nie wiecie!... To było tak... — i zaczynało się przedziwne opowiadanie o jego rozmowie z Marszałkiem Piłsudskim. Pojechał do Warszawy na początku czerwca w roku 1919, po czeskim najeździe na Śląsk Cieszyński. Był jednym z członków deputacji śląskiej, która udała się do Naczelnika Państwa z prośbą o ratunek przed Czechami.

— ...a wiecie, że Marszałek Piłsudski... ale wtedy nie był jeszcze Marszałkiem. Był tylko Naczelnikiem Państwa. Przyszliśmy do takiego zamku w Warszawie i powiedzieliśmy oficerom, że chcemy mówić z Marszałkiem. A w jakiej sprawie? W tej a w tej! Więc nas wpuścili do tego zamku i czekamy. A po chwili drzwi się otwierają, we drzwiach stoi oficer i powiada, że możemy iść. Toż my idziemy. I dobrze. A pan Marszałek stoi przy biurku i patrzy na nas. Był trochę pochylony, w takim mundurze wojskowym, lecz nie miał żadnych medalów ani odznak. Był jak prosty żołnierz. Oczy miał tylko szare i patrzył w nas. Brwi miał takie wiechate, a wąsy takie nie przymierzając jak ja... — i pogłaskał się dłonią po wąsach.

— A co potem? — zapytał ktoś z ciszy.

— Co potem? Hm, nic!... Mówiliśmy panu Marszałkowi o naszej krzywdzie, że nas Czesi napadli, żeśmy się nie mogli obronić, że naszych ludzi sporo wywieszali... no, wszystko mówiliśmy. Że nam krzywda wielka na Śląsku. A pan Marszałek nic, tylko wąsami rusza i patrzy się w nas. A gdyśmy już wszystko powiedzieli, cośmy mieli powiedzieć, to wtedy ja wy-



stępuję i powiadam: — Proszę nie mieć za złe, panie Naczelniku, że się coś zapytam... A pan Marszałek powiedział: — Powiedzcie Sobolu, co wam leży na sercu...

— A skąd wiedział, że się nazywacie Sobol?— wyrwał się znienacka Karel Bohač.

Spojrzeli wszyscy na chłopca z oburzeniem. Jak śmie wyrywać się nieproszony z tak głupim pytaniem.

Sobol też spojrzał, strzyknął śliną koło jego nosa i powiedział:

— A co myślisz, szpikolu, że pan Marszałek nic nie wie? On wszystko wie! Już umarł, Boże mu tam dej radość wieczną. Amen!... Ale on wszystko wiedział!... Przecież był Naczelnikiem Państwa!... I to by takiej głupiej rzeczy nie wiedział, jak się nazywam? Hę!... Czy myślisz, że to Masaryk albo Benesz?... Ho, ho!... To marszałek Polski!... To se popamiętaj, a po drugi raz nie wyrywaj się z takim głupim pytaniem, bo dostaniesz po głowie, i tyle będziesz miał!... Prawda, kamraci!...

Towarzysze przytaknęli a Sobol przeczekał, aż nastanie cisza.

— Więc jako powiadam... — zaczął znowu. — Pan Marszałek powiada: — Panie Sobol, proszę mi powiedzieć, co wam leży na sercu!... Wtedy ja powiadam, że nie wiem, co mamy powiedzieć naszym braciom na Śląsku od pana Marszałka. A pan Marszałek na to... ale poczekajcie, zaraz wam to przeczytam, co mi powiedział...

Wydobył z bocznej kieszeni stary, brudny notes, w którym zapisywał swoje zarobki, z notesu wyjął pomiętą i zbrudzoną fotografię Marszałka Piłsudskiego. Przedstawiała go siedzącego za biurkiem i podpisującego akta. Sobol odwrócił ją, przysunął do oczu, przyświecił lampą i zaczął powoli czytać tekst, napisany niezdarnymi literami:

— »Należycie do nas i związani jesteście z nami na dolę i niedolę. Śląska nigdy się nie wyrzekniemy! Stwierdził to uroczyście Sejm jednomyślną uchwałą, Śląsk Cieszyński jest polski i przy Polsce pozostanie. Powiadam wam to w imieniu moim, rządu i całej Polski.... Czekajcie z wiarą i wytrwajcie! Powtarzam, my się was nigdy nie wyrzekniemy!...« Tak powiedział pan Marszałek.

Skończył i spojrzał po zebranych. Siwe oczy jego płonęły uniesieniem, dyszał ciężko ze wzruszenia wpatrzony z uwielbieniem w podobiznę Marszałka.

— Słyszeliście, kamraci? Mamy czekać z wiarą i wytrwać. Tak powiedział pan Marszałek. A potem jeszcze tak mi powiedział: — Powiedzcie to, Sobolu, swoim kamratom na Śląsku. A powiedzcie jeszcze, że moi chłopcy kiedyś przyjdą i Śląsk wybawią? Powiedzcie to, Sobolu, a z Bogiem, a miejcie wiarę i wytrwajcie!... Tak mi powiedział...

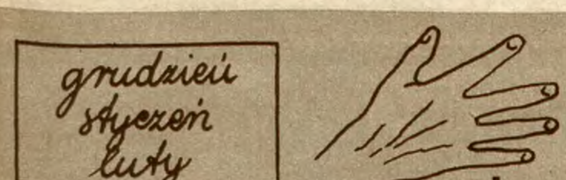
Słuchali wszyscy w milczeniu. Zgęszczone powietrze bzykało spod niedomkniętego wentyla w kołowrocie, stemple nad głowami z lekka trzeszczały, ludzie oddychali głośno, naokoło zaś stała najczarniejsza noc pełna tajemniczej ciszy i nieoczekiwanych zdarzeń. Wszyscy górnicy byli teraz podobni do ludzi zasłuchanych w ogromnie dalekie echa, kiedy ich noc zastanie na pustkowiu, a oni czekają poratowania ludzkiego i boskiego.

Sobol wciąż trzymał fotografię Marszałka Piłsudskiego w dłoniach, nachylony do światła i wpatrywał się w nią z rozrzewnieniem.

(d. c. n.)

ZAGADKI · FIGLIKI · WYMYŚLIŁ · SAM · MIKI

REBUS



ZAGADKA 2

Cztery sznurki
na drewnie,
rozpłakały się rzewnie,
gdy spotkały
fiku-miku
trochę włosów
na patyku.

SZARADA

Pierwsza-druga
nie jest długa:
dwie sylaby ma.
Lecz litery
ma aż cztery
(dwa razy po dwa).
Na parowcu,
w parowozie
każdy ją odnaleźć może.
Trzecią też
od razu mamy,
znalezioną
w środku gamy.
Kto z was
całość sam posiada,
nie boi się,
że deszcz pada.

ŁAMIGŁÓWKA



Na wielkim statku założono nowe koło sterowe. Do każdej rączki tego koła przymocowana była tabliczka z literą. Litery te przez pomyłkę pomieszały się. Jak powinny iść po kolei, żeby dały pełną nazwę polskiego statku oceanicznego?

ZAGADKA 1

Co to za zagadka?
Nie ojciec, nie matka,
a w mieszkaniu gwarnym
mnóstwo ma dzieciarni.
Przez trzy ćwierci roku
nie wie, co to spokój:
pośród książek, pośród dzieci
bardzo szybko czas mu leci.
Samotny jest za to,
kiedy przyjdzie lato.

ZAGADKA 3

Na druciku,
moi mili,
bańkę szklaną
powiesili.
Pstryk palcami,
hokus-pokus! —
widno z góry,
widno z boku.

KRZYŻÓWKA



Znaczenie wyrazów pionowych: 1 — odcinek biletu, 2 — kończyny, 4 — jedna z Muz, 5 — zwierzę domowe, 6 — bóstwo egipskie, 8 — założyciel Krakowa, 10 — bóg egipski, 12 — drewno wbite w drewno (wspak), 14 — mały gaj, 16 — miasto w Polsce, 18 — grecki bóg wojny, 19 — gaz atmosferyczny, 21 — tytuł angielski, 23 — rzeka włoska (wspak).

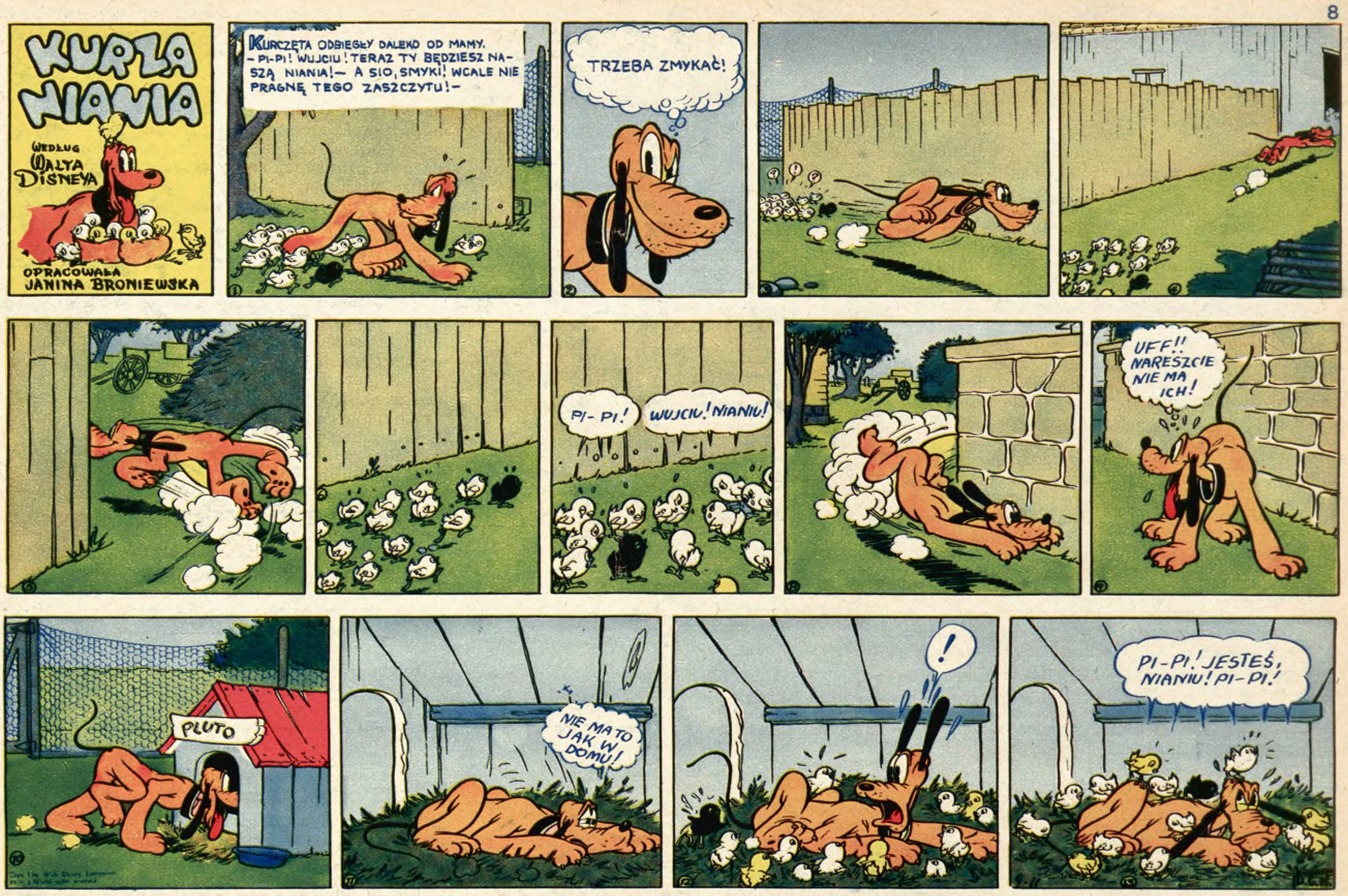
Znaczenie wyrazów poziomych: 3 — ćwiczenie fizyczne, 6 — skóra owcza, 7 — daszek nad kuchnią, 9 — ruch powietrza, 11 — zaimek w liczbie mnogiej, 13 — indyjskie bóstwo ognia, 15 — praca oracza, 17 — nuta, 19 — zaimek, 20 — inaczej skra, 22 — warsztaty okrętowe, 24 — rów strzelecki, 25 — szlachetny gatunek.

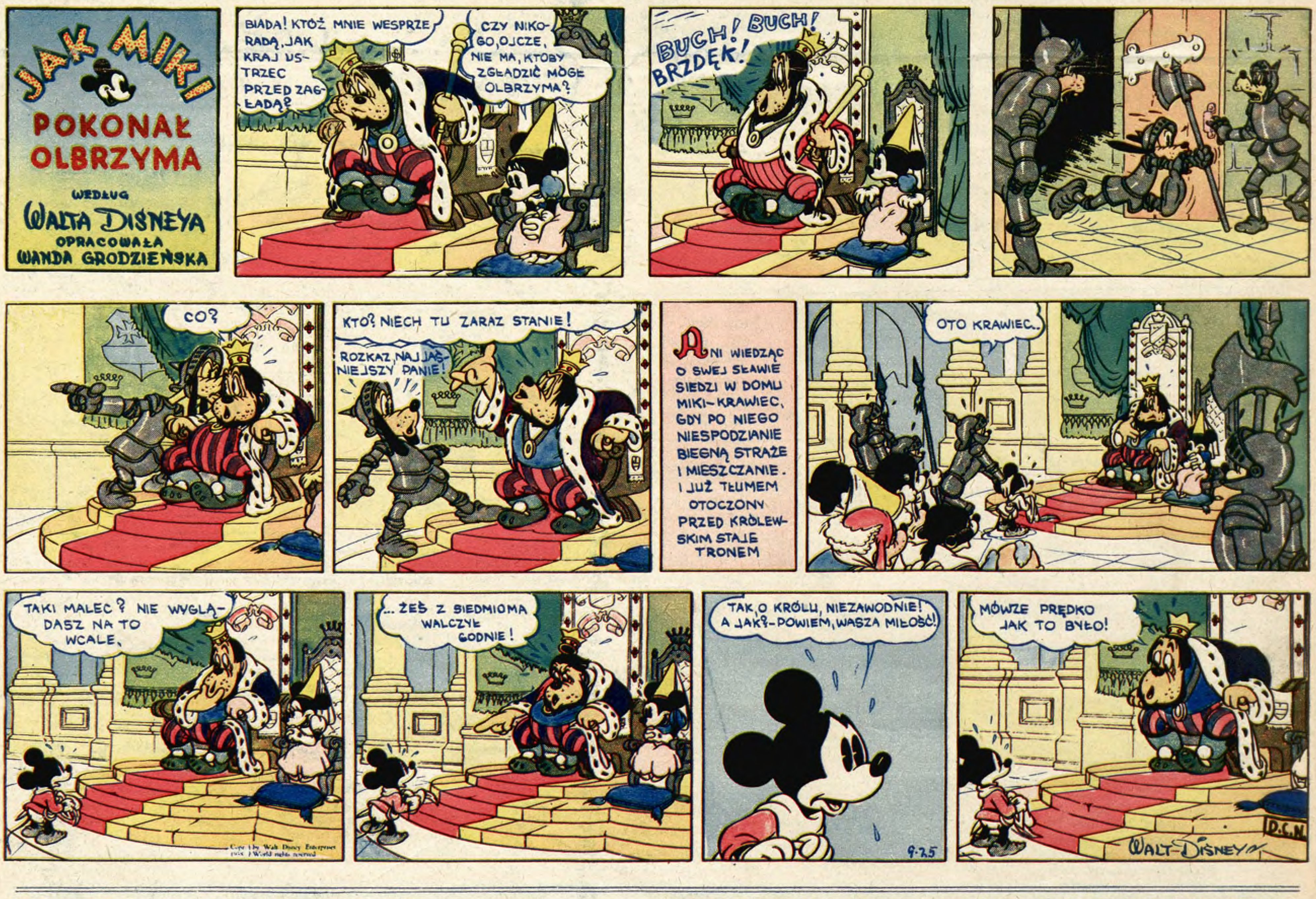
ROZWIĄZANIE Z N-RU 4

Rebusy: 1. górnicze miasto Karwina; 2. szybowce motorowe. **Szarada:** 1. Zakopane; 2. Kotwica. **Łamigłówka:** Paryż — ryż, Moskwa — kwas, Detroit — tort, Gdynia — dynia, sierpc — ser, ze Słonima — masło, z Kalisza — kasza, z Piotrkowa — piwo.

Układanka:

S
LAK
LAMUS
SAMOLOT
KULIS
SOS
T





Wydawca: Wydawnictwo »Gazetka Miki« — Sp. z o. o.
Redaktor: Aleksandra Bończa-Waśniewska.
Redakcja i administracja: Warszawa, Jasna 18/20 m. 17. Tel. 529-64. Konto P. K. O.: 3666.
Redakcja czynna codziennie od g. 12—13. Administracja czynna od 10—19.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 1·50 zł wraz z przesyłką, cena pojed. numeru 40 gr. — Do nabycia w księgarniach i w kioskach »Ruchu«. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.